

17-go września 1939 r. w godzinach popołudniowych wkroczyły wojska sowieckie do Tarnopola. Witani entuzjastycznie na ul. Tarnowskiego przez znaczną grupę Żydów i Ukraińców. Ci właśnie witający, na przestrzeni najbliższych trzech miesięcy, mieli być skarbnicą i źródłem informacji dla NKWD na temat każdego mieszkańca zajętego miasta. Wydawało się, że wkraczające wojska przyniosą jako taki spokój, przeszkodzą rabunkom, napadom i gwałtom. Ale ten pozorny spokój trwał tylko do godziny 8³⁰ następnego dnia.

Przypadek zrzucił, że w tym dniu /tj. 18. IX./ wyszedłem na przylegającą do posesji ulicę, i o dziwo, spostrzegłem na rogu ulic Lelewela i Tarnowskiego 4-osobową grupę żołnierzy, leżących na chodniku przy ciężkim karabinie maszynowym. Zatrwożony tym, skierowałem się przez podwórze do domu, aby podzielić się z rodzicami spostrzeżeniami. Nie zdążyłem jeszcze dojść do budynku, gdy rozpoczęła się huraganowa strzelanina z karabinów maszynowych czołgów, stojących na ulicy, małych działek i różnego typu broni, znajdujących się na wyposażeniu Krasnej Armii. Strzelanina ta trwała około 12 godzin, wyrządzając znaczne szkody w mieście. Pomijając uszkodzone budynki, na ulicach leżały zwłoki zastrzelonych mężczyzn, kobiet i dzieci, żołnierzy sowieckich, koni i zwierząt domowych.

Jak się później okazało, od strony cmentarza wkraczała do Tarnopola inna grupa wojsk sowieckich, która z braku właściwego rozkazania i łączności, otworzyła ogień na wcześniej, poprzedniego dnia przybyłe oddziały wojska sowieckiego.

Dzień wkroczenia wojsk sowieckich był dla Polaków dniem tragicznym, dniem rozpacz i zapowiedzią przyszłej nędzy, która osiągnęła swój szczyt w późniejszym okresie. Od pierwszego dnia wkroczenia wojsk sowieckich rozpoczęły się aresztowania inteligencji: profesorów, oficerów, podoficerów, sędziów, policji i osób uznanych za bogaczy, posiadających jakikolwiek majątek, jak to mówiono "burżujów".

Ojca mego aresztowano w listopadzie 1939 o godz. 2-iej w nocy. Aresztowania dokonał jeden sowiec w asyście trzech Ukraińców, którzy pod pretekstem złożenia zeznań, wyprowadzili ojca, nie pozwalając zabrać ze sobą jakichkolwiek rzeczy. Od tego momentu ślad po ojcu zaginął. Z opowiadań ludzi rzekomo kompetentnych, został wywieziony początkowo do Winnicy, a później na Daleki Wschód, do Chabarowskiego Kraju, łagier Buchta Nachodka.

W tym okresie brat mój przebywał we Lwowie /Marian Gołębiowski/. Poinformowany przez znajomych o aresztowaniu ojca zaczął ukrywać się, zmieniając na przestrzeni krótkiego czasu kilkakrotnie miejsce zamieszkania.

Po aresztowaniu ojca, przybył na kwaterę do naszego domu przedstawiciel "Zachodzero" /magazyna zboża siewnego i na paszę/, zajmując 2 z trzech posiadanych przez nas pokoi. Miesiące listopad, grudzień 1939 i styczeń 1940 były okresem ciężkim, gdyż sroga zima oraz brak rubli zmuszał do wymiany lepszej odzieży i sprzętu domowego za żywność.

Zbliżał się katastrofalny dzień aresztowania matki i mnie, oraz wywózka w głąb Rosji. Dzień ten dla mnie był pamiętnym. Była noc jasna, mroźna i cicha. Gwiazdy i księżyc oświetlały na przeciw okien ogrody, ulice przyległe do posesji. Miasto całe wpadło w głęboki sen.

10 lutego 1940 r. nad ranem, około godz. 4-iej usłyszeliśmy stuk do drzwi. Służąca Ukrainka, Nastka Dymkowicz otworzyła drzwi, przez które do mieszkania wkroczyło 3 ~~Kazachów~~ /NKWD/. Po przeprowadzeniu rewizji

kazali nam ubrać się, zezwolili zabrać ze sobą po 20 kg. na osobę. Wyprawiono nas na podwórze, gdzie oczekiwał samochód ciężarowy. Po załadunku na samochód, odwieziono nas na stację, gdzie oczekiwały na wywożonych wagonach towarowych. Tory dworca tarnopolskiego były zajęte przez sześć zestawów wagonów towarowych/ w każdym zestawie po kilkanaście wagonów/. Zauważyliśmy duże ilości samochodów, które bez przerwy dowoziły na dworzec nowe partie aresztowanych. Do wagonu, w którym się znalazłem, załadowano około 60 osób, które zajmowały miejsca na podłodze ze słomą. Dla załatwienia potrzeb, po zamknięciu wagonów, używano otworu w podłodze. Na dworcu staliśmy do następnego dnia tj. do chwili, kiedy wszystkie wagony zostały wypełnione aresztowanymi. Przez cały okres załadunku ochronę pociągów spełniali enkawudowcy, żołnierze wojsk stacjonujących w Tarnopolu i milicja żydowsko-ukraińska. Po rozłokowaniu się na słomie i nadejściu dnia, stwierdziliśmy obecność w wagonie państwa Kullandów/maż, żona, syn i teściowa/właściciele sklepu przy ul. 3-Maja, p. Lercherowej z dzieckiem/żony prefekta Bursy Polskiej przy ul. Lelewela/, dyrektora szkoły im. św. Kazimierza przy ul. Lelewela, p. Wisieckiego z żoną i córką.

Podróż w tych wagonach bydłych do miejsca przeznaczenia trwała przeszło miesiąc w bardzo trudnych warunkach/zimno, tłoczno, w brudzie i przy braku żywności i pojawiających się wszy./ Wyżywienie zamkniętych w wagonach stanowiły przeważnie suchary, resztki zabranego chleba i tłuszcze /smalec, marmolada/. W początkowym okresie podróży nie otrzymaliśmy żadnego pożywienia. Dopiero po przekroczeniu granicy polsko-sowieckiej podawano do wagonów kieliszkami wodę oraz w małej ilości chleb i od czasu do czasu soloną rybę/silotkę/. W czasie podróży z zimą zmarło dwoje dzieci, które wyrzucono z wagonu przy postojach w polu, kiedy podawano wyżywienie. Tak i w takich warunkach dojechaliśmy do miejscowości Pawłodar, leżącej w Azji, po drugiej stronie Uralu. Kiedy dojechaliśmy do w/w miejscowości, załadowano nas na samochody i przewieziono do z góry wyznaczonych sowchozów i kolchozów.

Zbiegiem okoliczności państwo Kullandowie, Lercherowa z dzieckiem, profesor Wisiński i ja z matką trafiliśmy do sowchozu Dżek-Kuduk, oddalonego o 30 km. od Pawłodaru. Przydzielono nam wspólne miejsce do zamieszkania. Składało się ono z jednego pomieszczenia o wymiarach 3,5 X 5,0 m. wylepionego wewnątrz gliną. Dzień przyjazdu był dniem odpoczynku. Na widok warunków w jakich znaleźliśmy się i w jakich przyjdzie żyć niewiadomo jak długo, panie rozpoczęły lamentem i płaczem. Zgromadzeni miejscowi Kazachi pocieszali nas, jak mogli, a niektórzy, znający język rosyjski współczuli i mówili, że oni też kiedyś widzieli lepsze życie i też pogodzili się ze stanem istniejącym. Trzeba stwierdzić, że ludzie starzy byli ustosunkowani do nas bardzo przychylnie, ale ze względu na młodych i partyjnych nie mogli ukazywać nam jawnie swojej przychylności.

Już w dzień następny, w godzinach rannych zwożano wszystkich przybyłych do zarządzającego fermą Kazacha, który przydzielał zebranych do różnych prac. Matka moja ze względu na stan choroby, nie pracowała. Praca, jaką nam zaoferowano polegała na wypasie bydła, opiece nad bydłem, dojeniu krów, dostarczaniu bydłu paszy, budowie nowych ziemianek, przygotowywaniu opału na zimę/z łajna bydłowego/, zwożeniu ^{na} zimę ze stogów siana, przygotowaniu na zimę silosów w potężnych dołkach. W okresie pierwszych czterech miesięcy ze stanu osobowego, jaki dojechał do sowchozu/60 osób/ zmarło z wycieńczenia i głodu 17 osób. Praca, którą wykonywaliśmy była przymusowa. Tam, gdzie posłano do pracy, musieliśmy wykonywać ją, w przeciwnym bowiem razie uznawano uchylającego się od pracy za bumelanta/progulszczyk/, którego sądy karały więzieniem względnie powołaniem do trud-armii/skoszarowani w najcięższych robotach/. W tych warunkach trzeba było żyć i robić wszystko, aby zachować życie, bo zawsze tkwiła w nas nadzieja, że jeszcze może

ktos się upomni o wywiezionych na zsyłkę. Stan zdrowia mojej matki pogarszał się z dnia na dzień. Bóle w piersi występowały co raz częściej i silniej. I wreszcie nadszedł dzień zawarcia umowy pomiędzy rządem Sikorskiego a Rosją.

Zawarcie tej umowy pozwoliło mi na podjęcie starań dla przeniesienia się z sowchozu do miasta Pawłodar. Był to okres wiosny 1942. Ponieważ władze sowchozu nie chciały mi zezwolić na opuszczenie sowchozu, udałem się pieszo 60 km. w jedną stronę stepem do miasta powiatowego, do NKWD, celem uzyskania takiego zezwolenia. Uzyskałem takie zezwolenie i po powrocie do sowchozu, "uprząjuszczy" zmuszony był odwiedzić mnie z matką, rodziną Kullandów, Lercherów i Wisieckich, bykami do Pawłodaru, gdzie zamieszkałem z matką w wynajętym pokoju w pobliżu /2 km./ dworca kolejowego Pawłodar. W tym czasie rozpoczęła swą działalność placówka Polskiej Delegatury, na czele której stanął przybyły z Londynu p. Lickendorf /imienia nie pamiętam./

Delegatura zajmowała się losami polskich obywateli, rozdziałem odzieży i żywności nadchodzących z Ameryki darów. Stanowiła ona wydatną pomoc dla zgłodniałych i wycieńczonych ze wszystkiego.

Pod koniec 1942 r. przyjechał do nas z Armii Polskiej w ZSSR, Stefan JUŻWA / syn profesora Juzwy / z zamiarem zabrania nas do Iranu /razem z polskim wojskiem, które miało w marcu-kwietniu zostać ewakuowane do Iranu./ Niestety stan zdrowotny matki /rak piersi/ nie pozwolił zrealizować tego zamierzenia, gdy najmniejszy wstrząs powodował znaczny krwotok. Pomocy lekarskiej chorej matce udzieliła dr. Gawrońska, gdyż szpital w takim schorzeniu nie przyjmował pacjenta. Nauczyła mnie posługiwania się strzykawką i morfiną, którą w momencie występowania bólu dokonywałem niezbędnego zabiegu. W miesiącu marcu 1943 matka zmarła i została pochowana na miejscowym cmentarzu.

Był to okres po wyprowadzeniu Armii Polskiej do Iranu /wyjazdu przedstawiciela Delegatury Lickendorfa do Anglii i wprowadzeniu na jego miejsce p. Gronkowskiego. Stosunki polsko-sowieckie zaczęły się psuć i wreszcie zostały zerwane. Zaczęły się ponowne aresztowania. Sam zostałem aresztowany na poczcie w momencie nadawania telegramu do Kujbyszewa, do ambasady polskiej o sytuacji, jaka wytworzyła się w Pawłodarze. Aresztowania dokonał naczelnik NKWD, znający mnie z kontaktów, jakie wynikały z przekazywania darów z nadchodzących transportów.

Pobyt w odosobnieniu na NKWD /izolatorka/ zaliczam do okresu bardzo ciężkiego, gdyż zamknięty w pomieszczeniu małym i ciemnym, od długości, wysokości i szerokości 1 metra, podlewano wodą przez dłuższy czas, powodował nie tylko schorzenia ale i miał wpływ ujemny na psychikę osoby zamkniętej. Po dwóch tygodniach takiego pobytu w nocy prowadzono dwu- lub trzykrotnie na przesłuchania, starając się biciem zmusić do podpisania oświadczenia o przyjęciu obywatelstwa sowieckiego. W celi tej przebywałem około 2 miesięcy, odmawiając kategorycznie zmiany obywatelstwa. Obiecywano mi, że jeżeli podpiszę zmianę obywatelstwa, to wyjadę razem z rodziną przedstawiciela Delegatury do Iranu. Znając przewrotność NKWD, nie zdecydowałem się na proponowaną mi zmianę obywatelstwa. Po okresie 2 miesięcy w nocy przeniesiono mnie do więzienia, gdzie oczekiwałem na rozprawę. Rozprawa została przeprowadzona po miesięcznym pobycie w więzieniu w sądzie powiatowym /rejonowym/ miasta Pawłodar, gdzie zapadł wyrok 5-letniej odsiadki w łagrze dla osób, które dopuściły się najcięższych przewinień. Wyżywienie dzienne, w czasie pobytu w NKWD, jak i we więzieniu, składało się z miseczki gotowanej wody i kromki chleba, zrobionego z otrębów. Przysyłki żywności od znajomych nie docierały do więzionych. Pobyt w więzieniu trwał około 1 miesiąca. I tu dowiedziałem się, w czasie wynoszenia z celi /w której przebywało około 20 osób/ beczki, do której więźniowie załatwiali swoje potrzeby/, że w tym samym więzieniu przebywała również pracownica Delegatury panna SZALUNOW. Nadszedł

wreszcie dzień, w którym załadowano 20 skazanych do samochodu więziennego i przywieziono na dworzec kolejowy Pawłodar, gdzie nastąpił pod eskortą załadunek do jednego z przedziałów okratowanych wagonu więziennego. Przedział ten miał wbudowaną na wysokości około 1,30 m. dodatkową podłogę. 10 więźniów stłoczono na górnej, i 10 na dolnej części przedziału. Wejście do górnego, czy dolnego pomieszczenia twarzą uniemożliwiało z powodu tłoku odwrócenie się twarzą do wyjścia z przedziału. W tej pozycji jechaliśmy do miejsca przeznaczenia przez okres około 2 tygodni. Rozprostowanie kręgosłupa mogło nastąpić raz dziennie, kiedy wyprowadzano nas do sanitariatu dla złatwienia potrzeb fizjologicznych. Jedzenie jakie nam aplikowano przez okres jazdy składało się z garnuszka kipiącej wody /"kpiatok"/ i jednego solonego śledzia z kromką chleba /10 dkg./ Męczące pragnienie, jakiemu więźniowie byli poddawani, doprowadzało do pomieszczenia zmysłów /2 osoby/. Wśród przewożonej grupy osób byłem jedynym Polakiem, pozostali byli Rosjanami, Kazachy, Ukraińcy, Niemcy, Białorusini i inni. Podróż przez samą tajgę za Uralem trwała około 4 dni. Wreszcie dorarliśmy do miejsca przeznaczenia, zwanego Wiatki /Kirowa/, obozu słynącego z bardzo ciężkich warunków bytowych. Wyjście z wagonu nastęrczało wiele trudności więźniom, gdyż fizycznie wyczerpani, osłabieni nie umieli utrzymać się na nogach. Dla widza postronnego ludzie ci wyglądem swym przypominali pajaców, pociąganych sznurkami. Okazało się, po wyjściu z wagonu, że w transporcie tym przebywało około 1000 więźniów. Więźniowie poszczególnych wagonów byli otoczeni przez 25 strażników, którzy posługując się pałkami, kolbami ipsami zmuszali do wejścia na teren obozu.

Oboz otoczony był trzema rzędami drutów kolczastych, a dalej murem trzy-metrowej wysokości oraz ośmioma budkami strażniczymi zainstalowanymi na wysokości 5 metrów od ziemi. Budki te były wyposażone w reflektory, telefony oraz karabiny maszynowe. Obszar łagru zajmował powierzchnię około 1 km. w kwadracie. Wejście na teren obozu możliwe było wyłącznie przez bramę główną, za którą stała straż i harmonista, który grą swą witał i żegnał wchodzących do środka i wychodzących do pracy więźniów. Pierwszą czynnością po wprowadzeniu nas na teren obozu było przydzielenie przez naczelnika obozu więźniów do baraków. Baraki wyposażone były w drewniane piętrowe prycze, zasłane słomą. Każdy z więźniów otrzymał obywatelską z tylnym umywalką i niewielką łazienką. Odzież została zabrana do dyzjenfekcji, wszy u nikogo nie brakowało. Nieopodal bramy, po stronie lewej od wejścia, w odległości około 15-20 m. usytuowany był budynek-siedziba naczelnika obozu, biuro obsługiwane przez dobranych więźniów oraz pomieszczenia, zajmowane przez mundurowych strażników /około 48./ Po stronie prawej usytuowane były "stacjonary", jeden, dwa, trzy, cztery i pięć /rodzaj lecznic dla więźniów/ W nocy około 24-ej nowo-dowiezionych więźniów rozbudowano i poprowadzono do "bani". Każdy z więźniów otrzymał jeden litr wody zimnej, którą miał się wymyć.

W pierwszym dniu pobytu naczelnik obozu określił zadania, obowiązki więźniów, ich prawo do pracy, warunki bytowania, kary za różnego rodzaju przewinienia, godziny rozpoczęcia i kończenia pracy. Zapoznał również z regulaminem obozowym, nadzorcami poszczególnych baraków i ustalił dzień następny za dzień rozpoczęcia pracy. O godz. 4³⁰ rano więźniowie stawili się przed bramą główną, uformowani zostali w brygady /po 20 osób/, otrzymali siekiery i piły. O godz. 5-tej rano podwoje bramy otwarto i wychodzące brygady za bramą otaczał 5-osobowy konwój, uzbrojony w broń automatyczną /pewnie/, który prowadził na wyznaczone miejsce pracy. Odległość miejsca pracy od obozu wynosiła od 5-10 km. Po przyjeździe na wyznaczone miejsce kierujący konwojem określał kwadrat 100x100 m., w którym można było się poruszać. Przekroczenie wyznaczonej linii kończyło się zawsze śmiercią więźnia /zastrzelenie przez strażnika/. W samej tajdze drogi wykładane były 2-metrowej długości pniami, po których przenoszono wykarczowane drzewa i poruszali się ludzie. Uwaga pracujących musiała być zwrócona nie tylko na przewracające się po ścięciu 20-30 m. wysokości drzewa, ale również na występujące mokradła. Wejście na takie miejsce groziło utonięciem, bo błota te wciągały swoje

ofiary w ciągu 1-2 minut bez możliwości ratunku. Około godz. 12-tej zarządzano 15-minutową przerwę w pracy na spożycie kromki chleba i wypicie około 200 gramów wody kipiącej. Powrót do obozu nastąpił o zmroku. Po zdaniu sprzętu i sprawdzeniu stanu liczbowego więźniów, brygady szły do swych baraków. Wyczerpani i zmęczeni więźniowie z odmrożeniami rąk czy nóg, nie rozbierając się weszli na swe prycze i zasypiali snem kamiennym. Za całe okrycie służyła szlama i "cieżogrejka" /bluza watowana/. Noc przechodziła spokojnie, jeżeli nie organizowano alarmów lub pędzono do kaźni i odwasalni, co zdarzało się dwa razy w tygodniu i to tylko w nocy. Istniejące warunki doprowadziły do tego, że po upływie około miesiąca ludzie tracili siły i nie byli zdolni do dalszej pracy. Wyprowadzani w dniach następnych do karczowania drzew, na drodze dołsciowej do miejsca pracy, przewracali się ze zmęczenia. Od tego momentu życie ich zależało wyłącznie od współtowarzyszy, którzy nie mogąc unieść więźnia, uderzeniem głową w śdąty pień zabijali delikwenta. Strażnik upewniwszy się, że więzien nie żyje przebijał go bagnetem w okolicy serca i nakazywał dalszy marsz. Uzupełnianie stanów etatowych brygad roboczych następowało raz na miesiąc i nie było żadnego sekretu, że na 1000 osób w obozie każdego miesiąca dowożono 400 nowych więźniów. Nie-ludzkie warunki bytowania i życia doprowadziły do tego, że po 3-4 miesiącach skierowany zostałem do szpitala więziennego, gdzie przechodząc kolejno w ciągu 5 miesięcy od I-go do V-go "stacjonara", dochodziłem powoli do jakiegoś takiego stanu fizycznego i psychicznego. Był to rok 1943. Na początku 1944 roku otrzymałem w obozie przesyłkę /paczkę 5-kilową/ z, zawierającą tłuszcze, owoce południowe, którą w całości przekazałem lekarzowi obozowemu. Dzięki temu lekarz ten przetrzymywał mnie w obrębie szpitaliku przez okres dalszych 8 miesięcy, a to miało zasadniczy wpływ na stan fizyczny mojej osoby. Po tym okresie zostałem wcielony ponownie do brygady roboczej karczującej drzewa. Samoobrona więźniów przed pójściem do pracy polegała na własnoręcznym samookaleczeniu nóg lub rąk /odcięcie toporem części stopy z palcami lub dłoni ręki z palcami/. W początkowym okresie uznawano takie przypadki za kalectwo i zaszeregowywano do grupy inwalidów zwolnionych od pracy. Ponieważ przypadki te zaczęły się mnożyć, zaczęto stosować dodatkowe kary w formie skazywania do odsiedzenia o dalsze 5 lat więzienia, który dokonał samookaleczenia. Gehenna ta trwała do miesiąca listopada 1945 r. O sytuacji na froncie wschodnim dowiadywaliśmy się od więźniów nowo-dowożonych.

W końcowych dniach listopada po powrocie z pracy, w czasie sprawdzania stanów brygad, naczelnik obozu wyczytał nazwiska 20 osób, których w dniu następnym nie miały udać się do pracy. Między innymi wymienił moje nazwisko. Polecił, aby wyczatani stawili się w dniu następnym o godz. 20-ej z rzeczami przed bramą wyjściową obozu. Tak się też stało. Przed bramą stał harmonista i 8-osobowy konwój, gotowy do marszu. Wywoływani z listy kolejno wychodzili za bramę /przy akompaniamencie harmonii/ zostali otoczeni przez strażników i poprowadzeni przez tajgę. Rozumieliśmy, że są to chyba ostatnie godziny lub minuty naszego życia, licząc się z tym, że będziemy rozstrzelani. Ale po marszu około 3-godzin, doszło do naszej świadomości, że prowadzą nas do innego obozu. I tak też się stało. Nad ranem zauważyliśmy przed nami obóz, baraki, druty kolczaste i wieże strażnicze. I od nowa zaczęła się szopka z wchodzeniem na teren nowego obozu. Jak wielkie było nasze zuziwienie, gdy z rana nie było pobudki i wyjścia brygadami do pracy. Od tego dnia zaczęto wydawać nam po 300 gramów chleba raz na dzień gotowaną wodę z krupami. Okazało się, że w tym obozie przechodzi się kwarantannę, ale nikt nie pisał słowem w jakim celu. Był koniec stycznia 1946 r. Na apelu wyczytano nazwiska 20 więźniów, informując że w dniu następnym o godz. 9-tej mamy stawić się z rzeczami /których nie mieliśmy/ przed bramą wyjściową. Za bramą stał harmonista oraz 10-osobowy konwój. Przy dźwiękach

harmonii wyczytywano ponownie nazwiska, brama została otwarta, zaś wychodzący na zewnątrz zostali okrążeni przez konwój strażników. Do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy o co tu chodzi. Konwój prowadzący nas wskazał kierunek marszu, wydał po jednym bochenku chleba i prowadził w sobie wiadomym kierunku. Po przejściu około 5 kilometrów zauważyliśmy, że co jakiś czas zmniejsza się liczba konwoju i wreszcie po przejściu około 10 km. zorientowaliśmy się, że straż konwojowa znikła bez śladu. Tak wyszliśmy na wolność z obozu Wiatka-Kirow. Po półgodzinnym marszu doszliśmy do stacyjki kolejowej. Tu wydano nam za darmo bilety do miejscowości pobytu przed aresztowaniem. Ja wracałem ponownie do Pawłodaru, licząc się z odzyskaniem pozostawionych rzeczy, ale było to tylko marzenie, gdyż żadnych z moich rzeczy nie odzyskałem. Przez okres najbliższych 2 miesięcy mieszkałem u Polaków, rodzina państwa TUROWSKICH, lekarz-chirurg w szpitalu w Pawłodarze. Po tym początkowym okresie znalazłem sobie locum u rodziny rosyjskiej, gdzie mieszkałem do momentu wyjazdu do Polski. Zanim jeszcze wyjechałem przez okres około pół roku pracowałem na zakładunku soli na okręty w przedsiębiorstwie "Kazsol" w Pawłodarze.

Otrzymywane wynagrodzenie wystarczało jedynie na zapłacenie mieszkania / wspólnego pokoju z rodziną rosyjską / oraz kupno chleba i talerza zupy. Sytuacja ta zmusiła mnie do szukania dróg dodatkowego zarobku. W rozmowie z pracownikami elewatorów w godzinach między 3 a 4 rano przwożeniem na saneczkach / w dniach umówionych / worek mąki, który następnie był sprzedawany chętnym nabywcom, których nie brakowało. W jednej z takich nocnych wypraw zostałem przyłapany przez milicję i osadzony w milicyjnym przejściowym więzieniu. Każdej nocy dwu do trzykrotnie byłem przesłuchiwany na te okoliczności i wreszcie zaproponowano mi przyjęcie funkcji konfidenta. Przez okres około trzech tygodni odmawiał podjęcia się takiej współpracy. W tym czasie / wobec stałych odmów / zamknięto mnie w izolatorze o wysokości, szerokości i długości 1 m. Pomieszczenie to było podlewane 2-3 razy na dobę. Zimno, wilgoć doprowadziły do wyrażenia zgody na współpracę. Zmuszono mnie biciem i głodówką do podpisania dokumentu określającego mój przydomek / Gromow 202 / i zobowiązania do wykonywania wszelkich poleceń osób, które wypowiedzą tem pseudonim. Po podpisaniu w/w dokumentu zwrócono mi sanki i worek mąki z zezwoleniem na spekulowanie towarami, gdyż byłem pełnoprawnym członkiem grupy donosicieli. Po powrocie do miejsca zamieszkania poszedłem prosić o radę, co dalej robić, dyrektora szkoły powszechnej p. Wisnieckiego, który również znajdował się w Pawłodarze. Ze strachu, jaki go ogarnął odmówił udzielenia mi rady. Ale po nocy przespanej, wpadłem na genialną myśl zgłoszenia się na ochotnika do wojska front. Przez oficera wojenkomatu zostałem przyjęty z obietnicą, że za dwa dni zostanie mi wręczone wezwanie do poboru. Tak też się stało. Mając w ręce wezwanie do wojska, udałem się do oficera, który pobrał ode mnie zobowiązanie do współpracy i oświadczyłem o niemożności dalszej współpracy z uwagi na fakt otrzymania wezwania do wojska z 3-dniowym terminem wyjazdu do Omska. Oficer ten o nazwisku Manduk wściekły z takiego obrotu sprawy, w obecności mojej porwał podpisane przeze mnie zobowiązanie do współpracy i słowami "idi ty w jobany materi" kazał opuścić gabinet. Mając to wezwanie do wojska wróciłem do wojenkomatu, oświadczając, że do armii nie mogę iść, bo posiadany dokument, stwierdzający brak obywatelstwa, nie pozwala na powoływanie niepewnych ludzi do wojska. W ten sposób uratowałem się z jednej strony od NKWD a z drugiej od służby wojskowej. Ukrywając się w rodzinie Koniuszego NKWD dōczekałem się naskutek nadejścia od brata wyzwania na powrót do Polski. Komisja mieszana polsko-sowiecka do spraw ewakuacji wydała mi dokument repatriacyjny o treści: "Przyruwnuje się do mas byłych obywateli polskich". Dokument ten posiadam do dnia dzisiejszego.

/-/ Stanisław Gołębiowski.